

Kronika tygodniowa.

Już byłam pewna, że niniejsza kronika nie sirzy światła dziennego, ale pozostanie... w kałamarni. Niechaj jednak nikt nie myśli, że kronikarz miał może zamiar zastraszować, lub wybierać się do Paryża, aby konferencji pokoju tej podziękować za uwzględnienie naszych słusznych żądań. Broń Boże!... Ani jedno, ani drugie!... Jednym i jedynym powodem była okoliczność, że na stare lata trzeba było ustawić się w ogonku pod główną trafiką i czekać na swą kolej, jeżeli się miało dobrą, a nieprzymuszoną wolę puścić sobie kilka wonnych dymków.

Trzeba zaś wiedzieć, że najpotężniejszy ogon ma w Krakowie pan Bujański. I to nie jeden, ale nawet dwa: zwykły, dochodzący aleraz do potwornych rozmiarów i mniejszy, tak zwany „asygnatowy“, złożony z tych szcześliwców z pomiedzy inteligencji, którzy posiadają wydane przez Dyrakeyę skarbu certyfikaty na pobór materyali tytoniowych, gdyż zawód nie pozwala im na „ogonkowanie“. Do rzędu ich należą urzędnicy, profesorewie, dziennikarze i t. d. wogóle proletaryat pracujący umysłowo, nie fizycznie.

Z pomiedzy tych „wybrańców losu“ niektórzy, nie mogący stawać w ogonku, czy to ze względu na swe zajęcie, czy też stan zdrowia, cieszyli się specjalnymi względami i swój przydział tytoniowy otrzymywali na przykład w sąsiadującej z główną trafiką cukierni Maurizia.

Otoż zdarzyło się, że w ubiegłym tygodniu przyniesiono do tego lokalu pewną ilość tytoniu, przeznaczoną dla kilku osób i zupełnie otwarcie ponieważ nie było w tem nic nielegalnego. rozpoczęto rozdzielanie między „certyfikatyśców“. Obscym był przy tem któryś z członków Straży obywatelskiej, który „wdepnął tam na wódeczkę...“ (a znane w Krakowie są te smakowite trunki...) i przypuszczając, że dzieje się jakieś nadużycie, spowodował konfiskatę tytoniu, o czem zresztą doniosły w swoim czasie nasze pisma codzienne, biorąc p. Bujańskiego w obronę przed niesłusznymi zarzutami jakiegoś paskarstwa lub spekulacji. Był to z jego strony jedynie akt grzeczności i chęć ułatwienia bliźniemu zaopatrzenia się w tak dziś pożądany i poszukiwany artykuł, co jednak fałszywie zostało zrozumiiane przez owego przedstawiciela Straży Obywatelskiej, działającego może i w dobrej wierze, ale zbyt porywczo.

Ze w Krakowie dzieją się nadużycia przy sprzedaży tytoniu, o tem wie każdy i kronikarz o tem już nieraz wspominał, ale zgodna opinia całego ogółu palaczy stwierdza z zadowoleniem i uznaniem, że właśnie główna trafika jest może jedyną w mieście, gdzie postępuje się tak, jak każą przepisy. Jeśli zaś od czasu do czasu pojawiało się na drzwiach ogłoszenie, że tytoniu brak, to tylko dla wygody odbiorców, by się niepotrzebnie nie fatygowali do wnętrza sklepu po to tylko, aby się dowiedzieć, że się muszą obejść smakiem, gdyż „w tym tygodniu *fassunku* nie będzie...“ To już wino nie trafikanta, który tytoni ma na to by go sprzedać, ale fabryki, gdzie nie wszystko działa się tak, jak się dziać było powinno, o czem zresztą pisano i długo i szeroko i często. Sam zarząd fabryki ogłosił swojego czasu z rozczulającą otwartością, że popełniano tam nadużycia, wobec których był bezsilny. Jeśli zaś trafika z magazynów fabrycznych nie otrzymuje zapasów, *ergo* nie może ich też sprzedawać.

Wracamy jednak do właściwego tematu.

Obóz ze względu na owe nieprzyjemności ze strony Straży obywatelskiej, które p. Bujańskiego spotkały w nagrodę za jego uczynność, powiedział sobie, że odtąd nie będzie nikomu świadczył grzeczności, kto zaś ma ochotę zapalić sobie, niech staje w ogonku.

Wobec takiego *dictum acerbum* nie pozostawało kronikarzowi nic innego do zrobienia, jak ustawienie się w ogonku, który w tym tygodniu był wyjątkowo niezbyt długi, służył bowiem tylko pod sklep Smidowicza i tam się jeszcze lekko zginał. W tem zagłębieniu znalazł się właśnie kronikarz i stąd posuwał się zwolna ku uprzejmym drzwiom Szamka, z których raz po raz wychodzili z wasołami minami ci, którzy mieli szczęście zaopatrzyć się już w „palivo“... Kronikarz zmierzając całe przedpołudnie, dotarł zaledwie w odcinek cukierni Maurizia i tu dał za wygraną... Zrezygnował z tytoniu i, aby zalać robaka, poszedł na kieliszek wódeczności, potem podał tam, gdzie go wołały obowiązki.

To przynajmniej dobrze, że, choć ogonek przypadał na czas, gdy swe imieniny obchodzili trzech słynnych *Eismännerów*, św. Pankracy, Serwacy i Bonifacy, wyjątkowo było ciepło. Dopiero św. Bonifacy przy pomyślał sobie, że ich obowiązkiem mrozić ludzi i tak też zrobił, a w jego ślady poszła i święta Zofia z swymi trzema córkami.

Wogóle można powiedzieć, że świat jest obecnie

zapełniony na opak, bo wtedy, kiedy powinno być zimno, jest ciepło i odwrotnie.

Kronikarz spodziewał się, że badaj z zapasów przedwojennych Aleksandrowicza coś mu kapnie, niestety skończyło się na nadziei, choć obiecywano, że na każdego dziennikarza ma wypaść coś po jednym cygarze i dwa papierosy. Pokazało się jednak, że dla nich już nie wystarczy, gdyż pretensje do połowy zapasów zgłosił pewien dygultarz, a z dygultarzami musi się każdy liczyć, chce, czy nie chce. Reszta miała być rozprzedana na boisku „Sokoła“ posiadaczom kart chlebowych, ale i z tem była kłapa. Być może, że się znalazł inny dostojnik i zagarnął dla siebie dalszy ciąg, ułatwiając w ten sposób pozbycie się skonfiskowanego towaru, który, jestem tego pewny, wcześniej nawet pojawił się „w pasku“, niż się spodziewamy.

Aleksandrowicz chciał się zabawić w biblijnego Józefa i gromadził zapasy, przeznaczając je na czarną godzinę, ale tylko dla wybranych, niestety, nie spotkał się z takimi dowodami uczucia, jak jego protoplasta.

Palic więc niema co, ale może to nawet i lepiej, gdyż zapalki są teraz ogromnie drogie. Są wprawdzie w taryfie maksymalnej, ale brak ich w sklepach, w pasku zaś dochodzą do osmdziesiąciu halerzy za pudełko, czyli, że jedna zapalka kosztuje około dwa halerze. Takim drogocennym przyrzędem zapala się cygaro *trabucos*, za które trzeba zapłacić cztery, a nawet pięć koron, nie więc dziwnego, że każdy chciałby się zaopatrzyć w ten naprawdę niezbędny artykuł co dzienniego użycia drogą legalną, ale nie każdemu się to udaje, a odtąd będzie to połączone z coraz to większymi trudnościami. Mając do wyboru ogonek lub kronikę, jako człowiek obowiązkowy wybiorę tę ostatnią, wyrzekając się palenia — tej jedynej przyjemności na jaką sobie można jeszcze było pozwolić od czasu do czasu.

Obiecuja nam, że już w najbliższym czasie otrzymamy karty na tytoni i że się wtedy stosunki poprawią, ale ja się bardzo boję, by z tem nie było tak, jak z kartami na chleb i mąkę. Karty są, ale maki brak.

Gdyby kto przed rokiem był powiedział, że po ukończeniu wojny będziemy musieli na każdym kroku walczyć z takim brakiem, byłibyśmy się mu z pewnością roześmiali w oczy. A jednak tak jest! Z każdym dniem wszystkiego coraz mniej, ceny dochodzą do niebywałej wysokości, jakiej nie dosięgły nawet w najgorszym wojennym czasie.

W jednej z lepszych jadalni porcja bigosu („przeгляд tygodniowy“, albo „tajemnica w kapturze“) kosztuje tylko pięć koron, kieliszek smaczna szesła, wędzonka dziesięć, a polędwica wołowa dwanaście! Aby sobie na coś podobnego pozwolić, trzeba być albo paskarzem, albo innym bandytą. Wystarczy przeczytać „Spis potraw“, ma się już dość. Dzięki Bogu, że i za to nie każą sobie płacić, bo i do tego dojść może przy poprawiających się coraz bardziej koniunkturach.

Czytając wspomnienia z obłożonego przez Prusaków Paryża, dziwił się nieraz, jak ludzie mogli wówczas płacić taki cenę. U nas obłożenia nie było, wojna się już podobno skończyła, a ceny idą tak szalenie w górę, że gdyby ówczesny Paryżanin znalazł się dziś w Krakowie, z kolei rzeczy zacząłby się on dziwić, jak ludzie mogą wytrzymać wobec takich stosunków. Dobrze przynajmniej, że dotąd jeszcze nie znamy ceny szczyrów, jeśli jednak pójdzie dalej w tem samym tempie, można się spodziewać, że i one dostaną się między artykuły spożywcze, których cenę reguluje taryfa maksymalna. Nie chcę przez to powiedzieć, że o szczyrach może zapomniano, ale dotąd nie zajęto się jeszcze nimi oficjalnie.

To jedno jest pewnem, że można dziś umrzeć z głodu, choć się jest milionerem wojennym, albo milionami dziedzicznie obciążonym, jeżeli się nie ma drobnych, to jest banknotów jedno i dwukoronowych. Co się z nimi stało, tego nikt powiedzieć nie umie, w każdym razie zniknęły z widowni, jak kamień racony we wodę. A było ich przecież dość, gdyż prasy drukarskie ś. p. Banku austro-węgierskiego pracowały bez wytchnienia dzień i noc, pomagały im także mniejsze fabryki krajowe, naprzykład nasza na Dębniakach. Ale u nas wszelki przemysł tępi się w zarodku. To stało się i z ową fabryką na Dębniakach, a dziś dopiero się widzi, jak mogłaby się stać pożyteczną.

Nie ulega kwestyi, że część not koronowych wywieziono, część zaś uwróto, ponieważ one mają nie podlegać stemplowaniu. Każdy więc kapitalista nabral nagle ochoty, aby swój majątek tylko w nich lokować i nie potrzebować płacić od tego podatku. Na strasaka ogłoszono w swoim czasie, że i jednokoronówki będą stemplowane, ale w to nikt nie uwierzył i nie pokazały się wcale. Obecnie, gdy pan minister Karpiński oświadczył, że stemplowania pieniędzy wogóle w Polsce nie będzie, należało się spodziewać, że stosunki się poprawią, ale i ta nadzieja zawiodła. Dro-

bnym brak, każdy kupiec, u którego się zjawił, powiada słodko:

— Ale będę mógł prosić o drobne?... Inaczej musiałbym resztę wydać bonami!

W ten sposób ratują się kupcy sami, choć o tem powinien był pomyśleć magistrat i, by ziemia zaradzić, wydać asygnaty kasowe. Ale u nas spóźniła się wszystko, nie też dziwnego, że magistrat, a raczej Rada miasta dopiero teraz jest w trakcie powzięcia uchwały, aby tych asygnat puścić w obieg za dwa miliony, a może się ziemia zaradzi, o ile naturalnie nie wykupią ich zaraz spekulanci, by im nie przeszkadzały w ich pertraktacjach i operacjach finansowych.

Jednem słowem, za daleko szczęśliwszego uważa się dziś właściciel dziesięciu koron w banknotach jedno i dwukoronowych niż posiadacz banknotu tysiącokoronowego. Niedawno chciałem z pewnym kapitalistą, narzekającym na brak drobnych, przeprowadzić tego rodzaju transakcyę, że dawałem mu dwadzieścia jednokoronówek za tysiączkę, z której zmianą miałbym być tylko kłopot, ale on się jakoś nie mógł zdecydować.

Nie mieć pieniędzy jest źle, mieć je, także kłopot!

Obok majowych kłopotów tytoniowo-aprowizacyjnych, zaczynają się powoli wyłaniać i polityczne. Etnizyżm, jaki zapanował u nas po dniu 7 maja w każdym razie pamiętnym i dla nas i dla całego świata, zaczyna powoli ustępować z drogi przekonaniu, że nas jednak wykiwano, gdyż Anglia postawiła na swoim w sprawie Gdańska. Ujął się za nami wprawdzie jeden z najwybitniejszych dziennikarzy amerykańskich, ale to nam tyle pomoże, co pocieszenie się, że przecież otrzymaliśmy Śląsk Górny z jego miliardowymi skarbami, ukrytymi w łonie matki ziemi. Zgadza się na to, że to nabitek bardzo pożądany, ale wolalibyśmy, aby... Gdańsk był nasz. Coś nam tam zaczyna opowiadać o dostępie do morza Czarnego, ale chyba tylko drogą powietrzną, skoro Ukraina widocznie się cieszy coraz większymi względami koalicyi i ma już podobno oblecany solennie Borysław wraz z okolicą.

Pan Lloyd George postawił już na swoim. Teraz kolej, aby się zajął sporem polsko-ukraińskim, a początkiem tego może być bardzo łatwo nota przedstawiciela Anglii, żądająca od Rządu polskiego zmiany dotychczasowych zarządzeń natury wojskowej zwłaszcza na wschodzie i to pod zagrożeniem wstrzymania dowozu żywności do Polski.

Ton dość ostry, dotąd postępowano z nami bardziej „w rękawiczkach“.

Gdybyśmy zestawili bilans tego, co otrzymaliśmy od koalicyi i porównali z tem, czego ona od nas żąda, musieliśmy dojść do przekonania, że karta ciętarów hipotecznych, jakie na nas nałożono, jest całkiem zababraną, to zaś, co w zamian dostajemy, równa się prawie zeru.

Niepodległość mamy, ale sami ją sobie wywalczyliśmy. Kosztowała nas morze krwi serdecznej i zniszczenie całego kraju. Co zaś dotąd otrzymaliśmy od koalicyi?... Odpowiedź bardzo łatwa i nie wymagająca zupełnie nadzwyczajnego wyteżenia pamięci: kawałek granicy zachodniej i to do tego dość niefortunnie wytyczonej, wolne miasto Gdańsk, obietnica, że reszta, jak się da, to się zrobi i napomnienie, abyśmy się zbyt ku wschodowi nie pchali, gdyż to nie leży w interesie ententy, mającej co do tych dzielnic inne plany, z naszymi kolidujące. Wisła zostaje naturalnie polską, o ile przez nasze ziemie przepływa, co należy zrozumieć w ten sposób, że wolno nam się w niej kąpać i ryby łapać, ale czy ktoś inny nie chwyci w swe ręce żeglugi, to się dopiero pokaże w dalszym ciągu. Z Czechami mamy się układać, także i z Ukraińcami, ale i tu i tam wskazana jest powściągliwość i stawianie skromnych wymagań, aby je przeciwnicy mogli przyjąć. A Czesi już z góry powiedzieli sobie, że nam węgli śląskich nie dadzą, tego samego zdania są i Ukraińcy, o ile to dotyczy borysławskiej ropy, której dostać się już naley, ale im wciąż jeszcze mało.

A czego od nas żąda koalicya?... W pierwszym rzędzie posłuszeństwa i zupełnego oddania się pod jej przemożną opiekę, potem szachowania Niemców od tyłu, gdyby im się zachciało zbyt energicznie wierząć i ntowienia przedmurza ochronnego dla Europy zachodniej przed nawałą bolszewicką. To są żądania natury politycznej, potem są jeszcze i ekonomiczne, gdyż kraj nasz ma się stać dla nich rynkiem zbytu.

Zbyt więc różowo nie przedstawia się sytuacja obecna, do tego zaś przyłącza się jeszcze i nieład wewnętrzny, potęgujący się z dnia na dzień i gospodarka najzupełniej wadliwa, pochłaniająca miliony, a nie przynosząca żadnych korzyści. Nawet konstytucyi dotąd nie mamy, choć tylko w tym celu zebrał się Sejm, niewiadomo wobec tego, dlaczego nazywający się konstytucyjnym. Od lutego radzą posłowie i biorą dyety, aby zaś dać dowód swej energii i zajęcia się sprawami ogólni zgłaszają taką moc wniosków nagłych, interpelacji i t. d., że mają zapewnioną pracę (*ergo* i dyety) na jaki rok naprzód.